

Gra bez konsekwencji

TEATR SYRENA „Dogville” ogląda się gładko, łowiąc dobre role, wsłuchując się w niezłą muzykę. I to jest również kłopot ze spektaklem, bo pozostaje obojętny, jakby obchodził szerokim łukiem sedno opowieści Larsa von Triera

Jacek Wakar, Polskie Radio

WSyrenie oglądam moje pierwsze sceniczne „Dogville”, ale nie jest to pierwsze „Dogville” w polskich teatrach. Głośny był spektakl Marcina Libera w łódzkim Nowym, w krakowskiej PWST własną wersję utworu przedstawiła Aleksandra Popławska, współreżyserka warszawskiej inscenizacji i odtwórczyni roli Grace. To ciekawe, bo choć o ile nie budzi wątpliwości siła filmu autora „Melancholii”, po latach zachwyty budzi również Nicole Kidman w swej życiowej kreacji, o tyle gra wydaje się ryzykowna. W końcu teatr wpisany jest w film von Triera, gdyż w całości opiera się on na teatralnej umowności. Mamy w nim scenę, a na niej kredą

zaznaczane kolejne miejsca akcji, poszczególne rekwizyty. Surowość zastosowanej przez duńskiego reżysera konwencji robi piorunujące wrażenie. Brak realistycznego tła tylko wyostreza obraz zdarzeń, potęguje niepokój, a wreszcie nokautuje widza sportretowanym na ekranie złem. Jak jednak przenieść „Dogville” na tradycyjną scenę, skoro teatr pozbawia filtru ekranu, wzmacniającego wrażenie obcości? Jak przenieść teatr do teatru i czy nie skończy się to z uszczerbkiem dla tajemnicy dzieła? Trudna sprawa.

„Dogville” to rzecz porażająca. Wywiedziona z ducha wielkiego songu Brechta i Weilla „Jenny piratka” opowieść o Grace, która w ucieczce przed gangsterami trafia do tytułowego miasteczka.

Jego mieszkańcy – sami porządni ludzie – przyjmują ją w zamian za bezinteresowną pracę na ich polecenie. Praca zamienia się w bezlitosny wyzysk, a potem sponiewieranie. Ale Grace jest cierpliwa. W końcu przychodzi czas jej krwawej zemsty. Z pozoru dokładnie to oglądamy w Teatrze Syrena. Jest nieliczna społeczność miasta, przedstawiona dość plastycznie, z odpowiednim zróżnicowaniem ludzkich typów. Jest narrator (Jerzy Nasierowski mówi tekst sprawnie, ale zachodzę w głowę, dlaczego rolę powierzono właśnie jemu, a nie któremuś z aktywnych dziś aktorów), który raz z offu, a raz na ekranie oprowadza nas po całej historii. Pojawia się Grace (Aleksandra Popławska) i niewielkim wysiłkiem

– mówię o tym, co widzimy na scenie – okręca sobie wokół palca ludzi z Dogville. Potem doświadcza od nich wszelkich upokorzeń, ale w Syrenie nie zostawiają one na niej wyraźnego śladu. Z nieskazitelnym makijażem wydaje własny wyrok na miasto.

Spektakl w Syrenie to przyjemny wieczór. Muzyka Macieja Zakrzewskiego buduje nastrój, cieszą aktorskie powroty Heleny Norowicz i Agnieszki Krukówny. Dobrze wypada Bartosz Porczyk jako Tom – sprawny retor i cyniczny manipulator, nowy Tartuflę tego upodłonego świata. Jednak mieszkańcy Dogville przez całe przedstawienie są, jacy byli na początku. Nie widać chwili, gdy rodzą się w nich potwory. Podobnie z Grace Popławskiej. Najpierw



KRZYSZTOF BIELIŃSKI

wyniośle obojętna, pozostaje taka do końca. Nic się nie zmienia, nic się niestety nie dzieje. Kalita z Popławską ślizgają się nawet z wprawą po powierzchni scenariusza von Triera, ale zło w ich przedstawieniu wybrzmiewa jedynie w deklaracjach. Obrazy bywają estetyczne, ale zostały pozbawione kantów. „Dogville” nie da się opowiedzieć bezkarnie, ono powinno kosztować zarówno twórców, jak i widzów. Tymczasem seans w Syrenie

mija niepostrzeżenie. Na wyławianiu bardziej udanych fragmentów i czekaniu na przełamanie całości, ale ono nie następuje. Wszystko, co zobaczyliśmy, na koniec okazuje się tylko grą. Bez konsekwencji dla nikogo. ©

„Dogville” według scenariusza Larsa von Triera w adaptacji Christiana Lollike | reżyseria: Marek Kalita, Aleksandra Popławska | Teatr Syrena w Warszawie

